

# Lekcje

Ian McEwan



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
LESSONS

Copyright © Ian McEwan 2022  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki oryginalnej © Suzanne Dean

Ilustracja na okładce © Tina Berning

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Agnieszka Drabek

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# 1

To było wspomnienie kogoś, kto nie może zasnąć, nie sen. Znow ta lekcja gry na pianinie – pomarańczowe kafle na podłodze, wysokie okno, nowe pianino w pustej salce niedaleko izby chorych. Ma jedenaście lat i próbuje zagrać to, co inni znają być może jako pierwsze preludium Bacha z pierwszego tomu *Das Wohltemperierte Klavier*, w wersji uproszczonej. On sam nic o tym nie wie. Nie zastanawia się, czy utwór jest słynny, czy mało znany. Nie umieszcza go w czasie i przestrzeni. Nie przychodzi mu do głowy, że ktoś zadał sobie trud, by go napisać. Muzyka po prostu istnieje, jako coś związanego ze szkołą lub mrocznego niczym zimowy sosnowy las, w którym jest sam jeden, w swoim prywatnym labiryncie zimnego żalu. Nigdy nie zdoła z niego wyjść.

Nauczycielka siedzi blisko niego na długim stołku. Wyprostowana, wyperfumowana, sroga, z okrągłą twarzą. Uroda kobiety skryta jest pod jej pozą. Nigdy się nie krzywi ani nie uśmiecha. Niektórzy chłopcy twierdzą, że jest szalona, lecz on w to wątpi.

Popełnił błąd tam, gdzie zawsze go popełniał, a ona nachyliła się i pokazała mu to miejsce. Jej ciepłe silne ramię

oparło się o jego bark, jej palce i pomalowane paznokcie znalazły się tuż nad jego kolanami. Czuł straszliwe mrowienie, które rozpraszało jego uwagę.

– Posłuchaj. To łatwy szeleszczący dźwięk.

Ale kiedy sama go zagrała, nie usłyszał łatwego szeleszczącego dźwięku. Jej perfumy obezwładniły jego zmysły, ogłuszyły go. Mdły zapach był podobny do twardego przedmiotu, krągłego rzecznego otoczaka, który wciskał się w jego myśli. Trzy lata później odkrył, że to była woda różana.

– Spróbuj jeszcze raz. – W jej głosie usłyszał ostrzeżenie.

Ona była muzykalna, on nie. Wiedział, że nauczycielka błądzi myślami gdzie indziej, że nudzi ją swoją nieistotnością – kolejny uczeń w szkole z internatem, z dłońmi zabrudzonymi atramentem. Jego palce naciskały nieme klawisze. Widział feralne miejsce na pięciolinii, zanim tam dotarł: to zdarzyło się, nim się zdarzyło, błąd zmierzał ku niemu z wyciągniętymi jak u matki rękami, zawsze ten sam, biorący go w objęcia bez obietnicy pocałunku. Stało się. Jego kciuk był obdarzony własnym życiem.

Słuchali razem, jak fałszywe nuty gasną w syczącej ciszy.

– Przepraszam – szepnął cicho.

Niezadowolenie nauczycielki przybrało formę szybkiego wydechu przez nozdrza, odwrotności pociągnięcia nosem, które słyszał wcześniej. Jej palce odnalazły wewnętrzną stronę jego uda, tuż przy skraju nogawki szarych krótkich spodenek, i mocno uszczypnęły. Wieczorem będzie tam miał owalny fioletowy siniak. Chłodna dłoń przesunęła się pod nogawką do miejsca, gdzie gumka majtek dotykała jego skóry. Zacerwieniony zerwał się ze stołka.

– Siadaj. Zacznesz od początku!

Surowość jej głosu wyparła to, co właśnie się wydarzyło. Chwila minęła i już w tym momencie wątpił, czy ją dobrze

zapamiętał. Wahał się, po raz kolejny mając do czynienia z wprawiającymi w osłupienie zwyczajami dorosłych. Nigdy nie mówili, co wiedzieli. Ukrywali przed tobą granice twojej ignorancji. To, co się stało, czymkolwiek było, musiało być przez niego zawinione, a nieposłuszeństwo nie leżało w jego naturze. Usiadł więc, spojrzął na ponurą kolumnę zawieszonych na pięcioliniach kluczy wiolinowych i zaczął grać, jeszcze mniej pewnie niż poprzednio. Szeleszczący dźwięk nie mógł zabrzmieć, nie w tym lesie. Zbyt prędko zbliżał się do tego samego feralnego miejsca. Katastrofa była nieunikniona, a świadomość, że do niej dojdzie, tylko to potwierdzała. Durny kciuk opadł w momencie, gdy powinien być nieruchomy. Przestał grać. Dysonans zabrzmiał jak wypowiedziane na głos jego imię. Nauczycielka chwyciła go kciukiem i palcem wskazującym za podbródek i obróciła jego głowę twarzą do siebie. Nawet jej oddech był pachnący. Patrząc mu prosto w oczy, wzięła leżącą na pianinie trzydziestocentymetrową linijkę. Nie zamierzał pozwolić się uderzyć, lecz unosząc się ze stołka, nie zauważył nawet, jak się zamachnęła. Trafiła go w kolano, nie na płask, lecz katem, i to zabolowało. Dał krok do tyłu.

– Masz robić, co każę. Siadaj.

Noga go piekła, ale wiedział, że nie złapie się za bolące miejsce, nie w tej chwili. Popatrzył po raz ostatni na nauczycielkę, na jej piękną twarz, na obcisłą bluzkę z perłowymi guzikami, zapiętą pod samą szyję, na fałdy tkaniny, które rozchodziły się promieniście przy jej piersiach, i na oczy mierzące go stanowczym i niezmaconym spojrzeniem.

Uciekał od niej kolumnadą miesięcy do chwili, gdy miał trzynaście lat i była późna noc. Od paru miesięcy występowała w marzeniach, które snuł przed snem. Tym razem jednak doznanie okazało się inne i gwałtowniejsze, ten chłodny ucisk w podbrzuszu ludzie nazywają chyba ekstazą.

Wszystko, dobre czy złe, było nowe i należało tylko do niego. Nie przeżył dotąd nic tak ekscytującego jak przejście tego punktu, od którego nie ma powrotu. Za późno, by się cofnąć, a kogóż to zresztą obchodziło? Zdumiony, po raz pierwszy w życiu spuścił się w rękę. Oprzytomniawszy, wstał po ciemku z łóżka i poszedł do ubikacji, „kibla”, żeby przyjrzeć się bladej galaretkę w swojej dłoni, dłoni dziecka.

Tu jego wspomnienia przeszły w sen. Sunąc przez lśniący wszechświat, zbliżał się do widoku z górskiego szczytu na odległy ocean, taki jak ten oglądany przez tłustego Cortesa w wierszu, który cała klasa musiała przepisać za karę dwadzieścia pięć razy. Rozciągające się aż po zakrzywiony horyzont morze, w którym wiły się miliony, miliony stworzeń mniejszych od kijanek. Coraz bardziej się do nich zbliżał, aż w końcu znalazł i zaczął gonić pewnego konkretnego osobnika, płynącego przez tłum, przepychającego się wraz z rodzeństwem gładkimi różowymi tunelami, wyprzedzającego tych, którzy odpadali wyczerpani z wyścigu. W końcu stanął sam jeden przed wspaniałym niczym słońce dyskiem, który obracał się zgodnie ze wskazówkami zegara, spokojny, wszechwiedzący, obojętny. Jeśli to nie będzie on, może być ktoś inny. Kiedy przechodził przez grube krwistoczerwone zasłony, usłyszał dobiegające z oddali zawodzenie i słońce przybrało twarz rozplakanego dziecka.

Był dorosłym mężczyzną z kacem i pięciodniowym zarostem, poetą, jak lubił o sobie myśleć, który wynurzył się z płytczn snu, poczłapał z sypialni do pokoju dziecinnego, wyjął dziecko z łóżeczka i je przytulił.

Jakiś czas potem siedział na dole w bujanym fotelu, z owiniętym w kocyk dzieckiem śpiącym na jego piersi. Obok, na niskim stoliku, leżała książka o problemach tego świata, którą kupił wcześniej. Wiedział, że jej nie przeczyta. Miał własne problemy. Przed nim były drzwi na taras i w

mglisty, mokry poranek patrzył przez nie na wąski londyński ogród i samotną bezlistną jabłoń. Na lewo od niej leżała odwrócona do góry dnem zielona taczka, pozostawiona tam jeszcze w lecie. Blżej stał okrągły metalowy stolik, od dawna czekający na pomalowanie. Późna i chłodna wiosna zakamuflowała śmierć drzewa, które w tym roku nie wypuściło liści. W trakcie trzytygodniowych upałów, które zaczęły się w lipcu, mógł je jeszcze uratować, mimo zakazu podlewania szlauchem. Miał jednak za dużo innych zajęć, by targać wiadra z wodą przez cały ogród.

Zamknął oczy i odchylił się na oparcie fotela; po raz kolejny nie zapadł w sen, lecz wspominał. Oto preludium, tak jak powinno się je zagrać. Minęło sporo czasu, odkąd tam ostatnio był, znów jedenastoletni, maszerujący z trzydziestoma innymi chłopcami do starego blaszanego baraku. Byli zbyt młodzi, by wiedzieć, jak żałośnie wyglądają, zbyt przemarznięci, by ze sobą rozmawiać. Kolektywna niechęć nadawała ich krokom szczególny rytm, kiedy niczym *corps de ballet* schodzili w milczeniu po stromym trawiastym zboczku, by stanąć przed barakiem i posłusznie czekać, aż rozpoczną się zajęcia.

Wewnątrz, w samym środku, stała opalana koksem koza i ogrzawszy się, zaczęli rozrabiać. Było to możliwe tutaj, nie gdzie indziej, bo łacinnik, niski i pocziwy Szkot, nie umiał sobie radzić z klasą. Na czarnej tablicy widniało zapisane ręką nauczyciela zdanie: *Exspectata dies aderat*. Niżej, koślawym chłopięcym pismem: *Nadszedł z dawna oczekiwany dzień*. W tym samym baraku, jak im powiedziano, w bardziej poważnych czasach mężczyźni szykowali się do wojny na morzu, ucząc się matematyki i umieszczania min. To była ich szkoła życia. Podczas gdy tu i teraz duży chłopak, znany łobuz, podszedł dumnie do nauczyciela i szczerząc zęby, pochylił się i wypiął, żeby łagodny Szkot mógł nieudolnie złoić

trampkiem jego groteskowy tyłek. Łobuz został nagrodzony brawami, bo nikt inny nie odważyłby się na coś takiego.

Hałas i bałagan potęgowały się i nagle zaczęto rzucać między ławkami czymś białym, a on przypomniał sobie, że jest poniedziałek i znów nadszedł z dawna oczekiwany, napawający lękiem dzień. Na nadgarstku miał gruby zegarek, który dał mu ojciec. „Nie zgub go”. Za trzydzieści dwie minuty zacznie się lekcja gry na pianinie. Starał się nie myśleć o nauczycielce, bo w ogóle nie ćwiczył. Las był zbyt straszny i ciemny, by wybrać się tam, gdzie kciuk samoistnie opadał na klawisz. Jeśli będzie myślał o matce, to go osłabi. Była daleko i nie mogła mu pomóc, więc ją także odsunął od siebie. Nikt nie sprawi, że poniedziałek nie nadejdzie. Zeszlotygodniowy siniak schodził i czym było wspomnienie zapachu nauczycielki? Nie tym samym co jego wdychanie. Co najwyżej pozbawionym kolorów obrazem, miejscem, odczuciem miejsca lub czymś pomiędzy. Poza lękiem był jeszcze jeden element: podniecenie, które też musiał od siebie odsunąć.

Dla Rolanda Bainesa, chronicznie niewyspanego mężczyzny w bujanym fotelu, budzące się do życia miasto było wyłącznie odległym szumem godziny szczytu, z każdą minutą coraz głośniejszym. Wygnani ze snów i z łóżek ludzie sunęli po ulicach jak wiatr. Tutaj nie miał nic więcej do roboty poza służeniem za łóżko synowi. Na piersi czuł bicie serca niemowlaka, prawie dwa razy szybsze niż jego własne. Ich tętna wpadały we wspólny rytm i go gubiły, ale pewnego dnia oddała się na zawsze. Później nigdy już nie będą tak blisko siebie. Będzie go znał coraz mniej, a potem mniej niż mniej. Lawrence'a lepiej poznają inni: będą wiedzieli, gdzie jest, co robi i mówi, jakich szuka przyjaźni i miłości. Jak czasami w samotności płacze. Ze strony ojca okazjonalne wizyty, szczerze uściski, opowieści o pracy, trochę polityki i do widzenia. Na razie wiedział o nim wszystko – gdzie jest



w każdej minucie, w każdym miejscu. Był dla niemowlaka jego łóżkiem i jego bogiem. Długie rozstania są być może istotą rodzicielstwa, lecz w tym momencie trudno je było sobie wyobrazić.

Minęło wiele lat, odkąd rozstał się z jedenastoletnim chłopcem z sekretnym owalnym śladem na wewnętrznej stronie uda. Tamtego wieczoru, po zgaszeniu świateł, przyjrzał się siniakowi, opuszczając w ubikacji spodnie od pizamy i nisko się nachylając. Oto odcisk jej palca wskazującego i kciuka, jej podpis, świadectwo tego, co się stało. Coś w rodzaju fotografii. Nie zabołało, gdy przesunął palcem po skraju sińca, tam gdzie blada skóra zmieniała kolor na niebieski, a potem zielonkawy. Wbił mocno palec w sam środek, gdzie była prawie czarna, i też nie poczuł bólu.

\* \* \*

W tygodniach, które nastąpiły po zniknięciu jego żony, wizytach policji i zabezpieczeniu domu, często próbował opisać udrękę tamtej nocy, kiedy nagle został sam. Zmęczenie i stres cofnęły go do początków, do pierwszych zasad, niekończącej się przeszłości. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby wiedział, co go czeka – liczne wizyty w ponurym urzędzie, czekanie wraz z setkami innych na przyśrubowanych do podłogi ławkach, aż wywołają jego numerek, masa rozmów, w trakcie których starał się o państwowe wsparcie, podczas gdy Lawrence H. Baines wiercił się i gaworzył na jego kolanach. W końcu je uzyskał, stypendium dla samotnego rodzica, rentę wdowca, choć jego żona wcale nie umarła. Kiedy Lawrence skończy roczek, dostanie miejsce w żłobku, a jego ojciec zasiądzie w centrum obsługi klienta albo w podobnym przybytku. Będzie Profesorem Życzliwej Uwagi. Całkiem słusznie. Czyż inni mieli się mozolić, gdy on będzie się zabawiał jakimiś sekstynami? To był układ, umowa

społeczna, którą zaakceptował... i której nienawidził.

To, co zdarzyło się dawno temu w małej szkolnej salce przy izbie chorych, było tak samo katastrofalne jak jego obecna sytuacja, ale i teraz, i wtedy radził sobie na pozór dobrze. Tym, co mogło go zniszczyć, było płynące z głębi duszy poczucie, że jest winien. Nachodziło go wtedy, bo był oszukany dzieckiem, ale dlaczego miał ulegać mu teraz? Obwiniaj ją, nie siebie. Nauczył się treści jej pocztówek i listu na pamięć. Normalnie takie listy zostawia się na kuchennym stole. Ona zostawiła swój na poduszce, niczym gorzką czekoladkę w hotelu. *Nie próbuj mnie odnaleźć. Nic mi nie jest. To nie Twoja wina. Kocham Cię, ale to nam wyjdzie na dobre. Przewadziłam złe życie. Proszę, spróbuj mi wybaczyć.* Na łóżku, po jej stronie, leżały klucze do domu.

Co to była za miłość? Czy urodzenie dziecka jest złym życiem? Po solidnym drinku skupiał zwykle uwagę na ostatnim zdaniu, tym, którego nie skończyła. *Proszę, spróbuj mi wybaczyć, tak jak ja wybaczam sobie*, powinna była napisać. Użalanie się nad sobą tej, która porzuciła, wobec gorzkiej klarowności porzuczonego. Potęgowało się to po każdej dolewce whisky. Nienawidził jej coraz bardziej; każda myśl była powtórzeniem, wariacją na temat jej samolubnej dezerccji. Po godzinie zabójczych rozważań wiedział, że zbliża się do punktu zwrotnego, przełomu w wieczornych rozmyślniach. Jeszcze jedna szklanka i dotrze na miejsce. Jego myśli zwalniały, a potem nagle się zatrzymywały, niczym pociąg w wierszu, którego ich klasa musiała pod groźbą kary nauczyć się na pamięć. Upalny dzień na stacji w Gloucestershire i cisza, w której ktoś chrząka. I wtedy ponownie to do niego wracało, oczywista refleksja, jasna i wyraźna jak śpiew ptaków za oknem. Był wreszcie pijany i wolno mu było ją kochać, marzyć, że ją odzyska. Jej seraficzne piękno, kruchość drobnych dłoni, głos z leciutkim akcentem po

spędzonym w Niemczech dzieciństwie, trochę ochrypli, jakby przed chwilą krzyczała. Lecz przecież nigdy nie krzyczała. Kochała go, więc to musiała być jego wina; jakie to słodkie, że w liście zapewniała, że tak nie jest. Nie wiedział, jaką wadliwą część siebie oskarżyć, musiało więc pewnie chodzić o niego całego.

Ogarnięty pijacką skruczą, wspinał się w słodko-smutnej zadumie po schodach, zaglądał do dziecka i zasypiał, czasami w ubraniu, w poprzek łóżka, po czym budził się w środku nocy, skonany i czujny, wściekły i spragniony. W ciemności podsumowywał swoje cnoty i to, jak wielkiej doznał krzywdy. Zarabiał prawie tyle samo co ona, opiekował się Lawrence'em na zmianę z nią, nawet w nocy, był wierny i kochający, nigdy nie próbował prowadzić życia genialnego poety przyznającego sobie specjalne prawa. A zatem był głupcem i frajerem, i dlatego go rzuciła, prawdopodobnie dla prawdziwego faceta. Nie, to nieprawda, był dobry, był dobry i jej nienawidził. Tym razem na całego. Emocje ponownie zataczały pełen krąg. Żeby spróbować teraz zasnąć, musiał leżeć na wznak, z zamkniętymi oczami, nasłuchując, czy Lawrence nie płacze, a jednocześnie przez godzinę, dwie, trzy, aż do świtu, zatracać się we wspomnieniach, pragnieniach, pomysłach, czasami nawet możliwych liniijkach wiersza, których nie miał ochoty zapisywać. Wkrótce po raz kolejny odtwarzał w myślach wizytę policji, podejrzenia, które na niego padły, przesuwanie się radioaktywnej chmury, przed którą zabezpieczył dom, i zastanawiał się, czy nie zrobić tego ponownie. Którejś nocy ten jałowy proces znów cofnął go do lekcji gry na pianinie.

Na lekcjach łaciny i francuskiego dowiedział się o czasach. Były tam zawsze, przeszły, teraźniejszy i przyszły, a on nie zauważał wcześniej, jak język dzieli czas na części. Teraz to wiedział. Nauczycielka gry na pianinie używała czasu

teraźniejszego, by opisać bliską przyszłość.

– Siedzisz prosto, podbródek jest podniesiony. Trzymasz łokcie pod kątem prostym. Palce są gotowe, lekko zgięte, nadgarstki luźne. Patrzysz wprost na partyturę.

Wiedział również, czym jest kąt prosty. Znał czasy, kąty, pisownię słowa „teraźniejszy”. To były elementy realnego świata, których miał się uczyć, wysłany tu przez ojca, trzy i pół tysiąca kilometrów od matki. Tymi sprawami zajmowali się dorośli, milionami spraw, a on po kolei będzie je poznawał. Kiedy po łacinie zjawił się, zdyszany i punktualny, na lekcji gry na pianinie, nauczycielka zapytała, czy w tygodniu ćwiczył. Okłamał ją. Potem znów usiadła blisko i owionęła go perfumami. Ślad, jaki zostawiła poprzednim razem na jego udzie, wyblakł i chłopiec nie był do końca pewien, co się wtedy wydarzyło. Ale jeśli spróbuje go znów skrzywdzić, od razu wybiegnie z pokoju. Oświadczenie, że ćwiczył przez trzy godziny, wymagało pewnego tupetu; w piersi czuł falę podniecenia. Tak naprawdę nie ćwiczył w ogóle, nawet przez trzy minuty. Nigdy wcześniej nie oszukał kobiety. Okłamywał ojca, którego się bał, lecz matce zawsze mówił prawdę.

Nauczycielka cicho odchrząknęła, co wskazywało, że mu uwierzyła. Albo że nie.

– No dobrze – szepnęła. – Zaczynaj.

Duży cienki zeszyt z łatwymi utworami dla początkujących był otwarty na samym środku. W zgięciu po raz pierwszy zobaczył trzy spinacze. Ich akurat nie trzeba było grać – ta głupia myśl sprawiła, że prawie się uśmiechnął. Surowa wyprostowana pętla klucza wiolinowego, klucz basowy zwinięty niczym płód królika w jego książce do biologii, czarne nuty, nuty z białym środkiem, które grało się dłużej – dwie brudne pozaginane strony partytury, które były jego kaźnią. Nic z tego nie wydawało się teraz znajome czy

choćby nieprzyjazne.

Kiedy zaczął, jego pierwsza nuta była dwa razy głośniejsza od drugiej. Przeszedł niezbyt pewnie do trzeciej i czwartej i zaczął grać szybciej. Najpierw ostrożnie, a potem jakby skradał się chyłkiem. To, że nie ćwiczył, go wyzwoliło. Lewa i prawa ręka były posłuszne nutom i ignorowały dopisane ołówkiem aplikatury. Nie musiał niczego pamiętać, po prostu naciskał klawisze w odpowiedniej kolejności. Nagle zbliżył się do feralnego miejsca, lecz lewy kciuk zapomniał opaść, a potem było już na szczęście za późno – znalazł się po drugiej stronie i sunął gładko przez równy teren nad lasem, tam gdzie światło i przestrzeń były czystsze. Przez chwilę wydawało mu się, że potrafi nawet rozpoznać ślad melodii zawieszanej niczym żart nad maszerującymi równo dźwiękami.

Podążanie w każdej sekundzie za dwiema, może trzema wskazówkami wymagało pełnej koncentracji. Zapomniał o sobie, zapomniał nawet o nauczycielce. Czas i przestrzeń się rozplynęły. Zniknęło pianino wraz z samym istnieniem. Kiedy się w końcu odnalazł, grając obiema rękami otwarty łatwy akord, to było tak, jakby obudził się z nocnego snu. Ale nie odjął palców od klawiatury, jak nakazywał brevis na partyturze. Akord wybrzmiał i zgasł w pustym niewielkim pokoju.

Nie podniósł palców, nawet gdy poczuł na głowie jej dłoń i kiedy obróciła jego głowę twarzą do siebie. Nic w jej oczach nie zapowiadało tego, co miało się zaraz wydarzyć.

– Ty... – szepnęła cicho.

Wtedy dopiero odjął dłonie od klawiatury.

– Ty mały...

W skomplikowany sposób opuściła i jednocześnie obróciła głowę. Jej twarz zbliżyła się do jego twarzy i zakończyło się to pocałunkiem w usta, długim miękkim pocałunkiem.

Ani nie protestował, ani się nie angażował. To działo się, a on na to pozwolił i nie czuł nic, dopóki trwało. Dopiero w retrospekcji, gdy przeżywał na nowo i odtwarzał w samotności ten moment, zdał sobie sprawę, jaki był ważny. Kiedy trwał, jej usta dotykały jego ust, a on czekał odrętwiały, aż to się skończy. A potem coś nagle im przeszkodziło i było po wszystkim. Przez osadzone wysoko okno padł cień. Ona, podobnie jak on, odwróciła się, by tam spojrzeć. Oboje zobaczyli to kątem oka lub wyczuli jednocześnie. Czy to była twarz, twarz i ramię kogoś, kto tego nie pochwałał? Ale przez małe kwadratowe okno widać było tylko chmurę i skrawki bladego zimowego błękitu. Wiedział, że z zewnątrz okno było ulokowane zbyt wysoko, by zobaczyć przez nie cokolwiek nawet najwyższy dorosły. To był pewnie ptak, gołąb z gołębnika w dawnej stajni. Nauczycielka i uczeń odsunęli się jednak od siebie z poczuciem winy i choć niewiele wtedy wiedział, rozumiał, że mają teraz wspólny sekret. Puste okno w brutalny sposób przywołało zewnętrzny świat. Rozumiał również, jak niegrzeczne byłoby uniesienie dłoni do warg, by zetrzeć z nich zasychającą ślinę.

Odwróciła się do niego, spojrzała mu głęboko w oczy i miłym, spokojnym głosem, sugerującym, że za nic ma podglądający ich świat, odezwała się, tym razem w czasie przyszłym, którego użyła, by teraźniejszość wydała się racjonalna. I taka się wydała. Nigdy jeszcze nie słyszał z jej ust tak długiej wypowiedzi.

– Za dwa tygodnie, Rolandzie, będziecie mieli pół dnia wolnego. W piątek. Chcę, żebyś uważnie mnie wysłuchał. Przyjedziesz rowerem do mojej wioski, Erwarton. Jeśli jedzie się z Holbrook, mój dom jest za pubem, po prawej stronie. Z zielonymi drzwiami. Przyjedziesz tak, żeby zdażyć na lunch. Rozumiesz?

Pokiwał głową, niczego nie rozumiejąc. To, że ma jechać

na lunch wąskimi alejkami i polnymi drogami przez cały półwysep do jej wioski, podczas gdy mógłby zjeść w szkole, nie mieściło mu się w głowie. Nic nie mieściło mu się w głowie. Jednocześnie, mimo całego zmieszania albo właśnie z jego powodu, chciał być teraz sam, chciał poczuć i przemyśleć ten pocałunek.

– Wyślę ci kartkę, żebyś nie zapomniał. Od teraz będzie cię uczył pan Clare. Nie ja. Powiem mu, że robisz wspaniałe postępy. A teraz, młody człowieku, poćwiczmy gamy majorowe i minorowe z dwoma krzyżkami.

\* \* \*

Łatwiej zapytać „dokąd” niż „dlaczego”. Dokąd wyjechała? Roland dopiero po czterech godzinach zawiadomił policję o liście i zniknięciu Alissy. Znajomi uważali, że nawet dwie godziny to za długo. Dzwon do nich natychmiast! Opierał się, wstrzymywał. Nie tylko dlatego, że łudził się, iż ona zaraz wróci. Nie chciał, by ktoś obcy przeczytał ten list i by jej odejście zostało oficjalnie potwierdzone. Ku jego zdziwieniu funkcjonariusz zjawił się już następnego dnia po zgłoszeniu. Miejscowy posterunkowy sprawiał wrażenie spiętego. Znotował kilka szczegółów, zerknął na list Alissy i obiecał, że się odezwie. Nic nie działo się przez tydzień; w tym czasie przyszły od niej cztery pocztówki. Detektyw przyjechał niezapowiedziany wczesnym rankiem, małym radiowozem, który zaparkował nieprzepisowo przed domem. Padał ulewny deszcz, lecz policjant nie przejmował się mokrymi śladami, które zostawiał w holu. Detektyw inspektor Douglas Browne, ze zwisającymi niczym lambrekiny policzkami, przypominał z wyglądu dużego przyjaznego psa o brązowych oczach. Siedział skulony przy kuchennym stole naprzeciwko Rolanda. Przy porośniętych ciemnymi włoskami olbrzymich dłoniach Browne’a leżał jego notes oraz

pocztówki i list Alissy. Gruby płaszcz, którego nie zdjął, sprawiał, że wydawał się większy, niż był w rzeczywistości, i jeszcze bardziej upodobniał go do psa. Obu mężczyzn otaczały brudne talerze i filiżanki, śmieciowa poczta, rachunki, prawie pusta butelka do karmienia, rozmazane resztki śniadania Lawrence'a oraz jego śliniaczek. To były, jak określił jeden ze znajomych Rolanda, zaślinione lata. Lawrence siedział na wysokim krzeselku, wpatrując się z podziwem w tego olbrzymiego mężczyznę i jego przerośnięte ramiona. W żadnym momencie wizyty Browne nie dał po sobie poznać, że zauważa istnienie dziecka. Roland czuł się lekko urażony w imieniu syna. Nieważne. Łagodne brązowe oczy policjanta utkwione były wyłącznie w ojcu. Roland był zobowiązany odpowiedzieć na rutynowe pytania. Nie mieli problemów małżeńskich, oświadczył to głośniejszym głosem, niż zamierzał. Żadne pieniądze nie zostały podjęte z ich wspólnego konta. Wciąż trwały wakacje, więc w szkole, w której pracowała, nic nie wiedzieli o jej wyjeździe. Zabrała ze sobą małą czarną walizkę. Była ubrana w zielony płaszcz. Tutaj jest kilka jej zdjęć, data urodzenia, nazwiska i adres rodziców w Niemczech. Na głowie może mieć берет.

Detektywa zainteresowała jej ostatnia pocztówka, z Monachium. Roland nie sądził, by kogoś tam znała. W Berlinie owszem, a także w Hanowerze i Hamburgu. Pochodziła z luterańskiej północy Niemiec. Kiedy Browne uniósł brew, Roland przypomniał mu, że Monachium leży na południu. Może powinien raczej wyjaśnić, czym jest luteranizm. Ale detektyw zajął się notese i zadał kolejne pytanie. Nie, odparł Roland, nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś podobnego. Nie, nie ma kopii jej paszportu. Nie, nie wydawała się ostatnio przynębiona. Jej rodzice mieszkają niedaleko Nienburga, małego miasteczka, również w północnych Niemczech. Kiedy zatelefonował do nich w innej sprawie, stało się jasne,



że jej tam nie ma. Nic im nie powiedział. Jej matka, wiecznie niezadowolona, wybuchłaby gniewem, dowiadując się czegoś takiego o swojej jedynaczce. Dezercja! Jak ona śmiała! Matka i córka często się kłóciły. Ale teściom i jego rodzicom trzeba będzie w końcu powiedzieć. Trzy pierwsze pocztówki od Alissy, z Dover, Paryża i Strasburga, przyszły w ciągu czterech dni. Ostatnia, z Monachium, dwa dni później. Od tego czasu żadnej wiadomości.

Detektyw inspektor Browne ponownie przyjrzał się pocztówkom. Wiadomości były takie same. *Wszystko w porządku. Nie martw się. Ucałuj ode mnie Larry'ego. xx Alissa*. Ich identyczność, podobnie jak nieczułe zakończenie, mogła świadczyć o obłudzie albo wrogości. Mogły być prośbą o pomoc albo formą zniewagi. Ten sam niebieski flamaster, żadnych dat, nieczytelny stempel pocztowy. Z wyjątkiem Dover, takie same widoki miejskich mostów na Sekwanie, Renie, Izarze. Dużych rzekach. Odpływała na wschód, coraz dalej od domu. Poprzedniej nocy, na skraju snu, Roland wyobraził ją sobie jako utopioną Ofelię z obrazu Millaisa, unoszącą się w gładkiej czystej toni Izary nieopodal Pupplinger Au, z nagimi pływakami leżącymi na trawiastych brzegach niczym foki na plaży; płynącą na plecach przez Monachium, głową do przodu w dół rzeki, cicho i niepostrzeżenie, mijając Engländer Garten, wpadającą do Dunaju, a potem sunącą przez Wiedeń, Budapeszt, dziesięć krajów z ich burzliwą historią, wzdłuż granic Cesarstwa Rzymskiego, ku białemu niebu i niekończącym się moczarom przy ujściu do Morza Czarnego, gdzie kochali się kiedyś za starym młynem w Letei, a niedaleko Isaccai widzieli stado hałaśliwych pelikanów. Zaledwie dwa lata wcześniej. Czaple purpurowe, ibis kasztanowaty, gęś gęgawa. Przedtem w ogóle nie znał się na ptakach. Tamtego wieczoru, nim zasnął, odpłynął z nią do miejsca dzikiego szczęścia, do źródła. Ostatnio musiał się

mocno koncentrować, by pozostać dłużej w czasie teraźniejszym. Przeszłość była często łącznikiem między pamięcią a niespokojnymi fantazjami. Składał to na karb zmęczenia, kaca, dezorientacji.

– Kiedy moja żona miała mnie dosyć, wyrzuciła mnie z domu – oznajmił pocieszającym tonem Douglas Browne, zagładając do notesu.

Roland chciał coś powiedzieć, ale Lawrence przerwał mu, głośno skrzecząc. Chciał wziąć udział w spotkaniu. Roland wstał, wyjął syna z krzeselka i posadził go sobie na kolanach. Możliwość przyjrzenia się nieznanemu olbrzymowi pod innym kątem, twarzą w twarz, na nowo uciszyła dziecko. Wpatrywał się w detektywa intensywnie, śliniąc się, z otwartą buzią. Nikt nie może wiedzieć, co dzieje się w umyśle siedmiomiesięcznego dziecka. Jest niczym mroczna pustka, szare zimowe niebo, na którym wrażenia – dźwięki, widoki, dotyk – wybuchają niczym fajerwerki w łukach i girlandach pierwotnego koloru, natychmiast zapominane, natychmiast zastępowane przez inne i zapominane ponownie. A może niczym basen, do którego wszystko wpada i znika tam, lecz jednak zostaje, nieodwracalnie obecne, ciemne kształty w głębokiej wodzie, oddziałujące swoją grawitacją nawet osiemdziesiąt lat później, na łożu śmierci, w ostatnich wyznaniach, ostatnim płaczu za utraconą miłością.

Po odejściu Alissy wypatrywał u syna oznak żalu i traumy i odnajdywał je na każdym kroku. Dziecku musi brakować matki, a gdzież indziej, jeśli nie w pamięci? Czasami Lawrence zbyt długo milczał. Zszokowany, odrętwiały, z formującą się w ciągu kilku godzin w niższych rejonach świadomości tkanką bliznowatą, jeśli takie miejsce i taki proces w ogóle istnieją. Zeszłej nocy płakał zbyt mocno. Rozgniewany brakiem czegoś, choć zapomniał, co to było. Nie chodziło o pierś. Był karmiony butelką od samego po-

czątku; tak postanowiła matka. To było częścią jej planu, myślał w gorszych momentach Roland.

Detektyw inspektor oderwał się od notesu.

– Rozumie pan, że jeśli odnajdziemy Alisnę, nie będziemy mogli panu powiedzieć, gdzie jest, bez jej zgody.

– Możecie mi powiedzieć, czy żyje.

Browne kiwnął głową i przez chwilę się zastanawiał.

– Kiedy okazuje się, że zaginiona żona nie żyje, zabójcą jest na ogół małżonek.

– W takim razie miejmy nadzieję, że żyje.

Browne wyprostował się i odchylił lekko na oparcie krzesła, udając zaskoczenie. Po raz pierwszy się uśmiechnął. Wydawał się przyjaźnie nastawiony.

– Wygląda to tak. Facet uśmierca ją, pozbywa się ciała, powiedzmy, w New Forest, kopiąc płytki grób w ustronnym miejscu, zgłasza zaginięcie i co dalej?

– Co?

– Wtedy się zaczyna. Nagle uświadamia sobie, że była cudowna. Tak bardzo się kochali. Tęskni za nią i zaczyna wierzyć we własną historyjkę. Żona rzeczywiście uciekła. Albo załatwił ją jakiś psychopata. Facet płacze, wpada w depresję, wścieka się. Nie jest mordercą, nie kłamie, teraz tak tego nie widzi. Żona odeszła i on tak to odczuwa. A nam wydaje się to autentyczne. Wydaje się szczerze. Ciężko takich rozgryźć.

Głowa Lawrence'a opadła na pierś ojca i mały zapadł w drzemkę. Roland nie chciał, żeby detektyw już wychodził. Kiedy to zrobi, trzeba będzie posprzątać kuchnię. Uporządkować sypialnię, zrobić pranie, wymyć plamy w holu. Zrobić listę zakupów. Jedyne, czego chciał, to zasnąć.

– Nadal jestem na etapie tęsknoty – powiedział.

– To dopiero początek, proszę pana.

Obaj zaczęli się cicho śmiać. Jakby to było zabawne i byli

starymi znajomymi. Rolanda ujęła obwisła fizjonomia inspektora i jego łagodne zakłopotane spojrzenie świadczące o niewymownym znużeniu i zużyciu. Szanował impuls detektywa, by mu się zwierzyć.

– Dlaczego pana wyrzuciła? – zapytał Roland po krótkim milczeniu.

– Za dużo pracowałem, za dużo piłem, codziennie do późnej nocy. Ignorowałem ją, ignorowałem dzieciaki, trzech uroczych chłopców. Miałem na boku kochankę, o której ktoś jej powiedział.

– Znaczy należało się panu.

– Też tak pomyślałem. Stałem się jednym z tych gości, co mają dwa domy. Słyszysz się o nich. W starym nie wiedzą o nowym, nowy jest zazdrosny o stary, a facet biega od jednego do drugiego, jakby miał w tyłku rozpalony pogrzebacz.

– A teraz jest pan w tym nowym.

Browne westchnął głośno przez nozdrza, odwrócił wzrok i podrapał się po karku. Piekło, które tworzymy sobie sami, jest interesującym konstruktem. Każdy przynajmniej raz w życiu je sobie urządził. Życie niektórych nie składa się z niczego więcej. To tautologia, że zadawane sobie samemu cierpienia stanowią przedłużenie charakteru. Lecz Roland często o tym myślał. Buduje się machinę tortur i do niej wchodzi. Pasuje doskonale i ma w ofercie całą gamę cierpień: od wykonywania pewnych specyficznych profesji, przez upodobanie do alkoholu i narkotyków, po zbrodnię połączoną z lękiem, że cię złapią. Innym wyborem może być surowa religijność. Cały system polityczny może się opierać na narzuconej samemu sobie udreće – spędził kiedyś trochę czasu we wschodnim Berlinie. Małżeństwo, machina dwuosobowa, oferuje możliwości w rozmiarze king size, najrozmaitsze warianty *folie à deux*. Wszyscy znają jakieś przykłady, a machina Rolanda była bardzo zmyślna. Jego dobra

przyjaciółka, Daphne, wyłożyła mu to pewnego wieczoru, na długo przed odejściem Alissy, kiedy przyznał, że od kilku miesięcy czuje się przygnębiony. „Radziłeś sobie świetnie w szkole wieczorowej, Rolandzie. Tyle przedmiotów! Ale we wszystkim, czego próbujesz, chcesz być najlepszy na świecie. Fortepian, tenis, dziennikarstwo, teraz poezja. Wylizuję cię jedynie to, o czym wiem. Kiedy tylko odkrywasz, że nie jesteś najlepszy, rzucasz to i nienawidzisz samego siebie. Podobnie jest ze związkami. Chcesz zbyt dużo i szukasz kogoś nowego. Albo ona ma dość tego dążenia do perfekcji i cię wyrzuca”.

– Więc czego pan tak naprawdę chce? Żony czy tej nowej? – sformułował na nowo pytanie Roland.

Lawrence załatwiał się bezgłośnie przez sen. Odór nie był taki przykry. Jedno z odkryć wieku średniego: jak szybko zaczynamy tolerować gówna tych, których kochamy. To generalna zasada.

Browne poważnie zastanawiał się nad pytaniem. W roz-targnieniu potoczył wzrokiem po kuchni. Zobaczył bałagan na półce z książkami, stos czasopism, połamany latawiec na szafce. Oparł łokcie o stół, spuścił głowę i masując obiema dłońmi kark, wpatrywał się przez chwilę w sosnowe słoje blatu. W końcu się wyprostował.

– Tak naprawdę chcę mieć próbkę pańskiego charakteru pisma. Cokolwiek. Wystarczy lista zakupów.

Roland poczuł, jak wzbiera w nim i opada fala mdłości.

– Myśli pan, że to ja napisałem te pocztówki?

Błędem było odpuszczenie sobie po ciężkiej nocy śniadania. Choćby kromka chleba z masłem i miodem, żeby zabezpieczyć się przed hipoglikemią. Był zbyt zajęty Lawrence'em. A potem ręce mu tak drżały, że zrobił sobie o wiele za mocną kawę.

– Może być liścik do mleczarza.

Browne wyciągnął z kieszeni płaszcz sfatygowany skórzanym futerałem na pasku. Chrząkając i wzdychając, zaczął z niego wydobywać aparat fotograficzny, co wymagało przekręcenia metalowej śrubki, zbyt małej na jego grube paluchy. To była srebrno-czarna stara leica 35 milimetrów, z wgnieceniami na korpusie. Zdejmując pokrywkę z obiektywu, detektyw nie spuszczał oczu z Rolanda i zacisnął usta w uśmiechu.

W końcu wstał, z pedanterią ułożył w rzędki cztery pocztówki i list i sfotografował z dwóch stron każde z nich.

– Te nowe superczułe filmy to coś cudownego – powiedział, chowając aparat z powrotem do kieszeni. – Widać na nich wszystko. Interesował się pan fotografią?

– Kiedyś owszem – odparł Roland. – Jako dziecko – dodał oskarżycielskim tonem.

Browne wyciągnął z drugiej kieszeni płaszczu plastikowe torebki i chwytając po kolei za sam róg każdej pocztówki, wsunął je do czterech przezroczystych kopert, po czym szczelnie je zamknął, zaciskając ich krawędzie. Do piątej włożył list zostawiony na poduszce. *To nie twoja wina*. Następnie usiadł i ułożył z nich zgrabny stosik, wyrównując dużymi dłońmi brzegi.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, zabiorę je ze sobą.

Serce Rolanda biło tak mocno, że zaczynał czuć się wy-poczęty.

– Mam coś przeciwko.

– Odciski palców. Są bardzo ważne. Dostanie pan wszystko z powrotem.

– Mówią, że na komisariatach giną różne rzeczy.

Browne uśmiechnął się.

– Przejdziemy się teraz po domu. Potrzebujemy próbki pana charakteru pisma, jakiejś sztuki garderoby żony, czegoś, na czym byłyby tylko jej odciski palców, i... Czego

jeszcze? Aha, próbki jej charakteru pisma.

- Już pan ją ma.
- Chodzi mi o coś z przeszłości.

Roland wstał, trzymając w ramionach Lawrence’a.

– Angażowanie pana w sprawy osobiste było chyba błędem.

Detektyw ruszył już w kierunku schodów.

- Być może – mruknął.
- Muszę najpierw zająć się dzieckiem – powiedział Roland, kiedy znaleźli się w wąskim korytarzu na piętrze.
- Zaczekam tutaj.

Ale kiedy pięć minut później wrócił z Lawrence’em na biodrze, zastał Browne’a w swojej sypialni, ich sypialni. Detektyw pomniejszał ją w grubiański sposób swoimi gabarytami, stojąc przy oknie, obok małego biurka, przy którym pracował Roland. Niemowlak, jak poprzednio, wbijał w policjanta zdumiony wzrok. Przy przenośnej maszynie do pisania marki Olivetti leżały egzemplarze trzech najnowszych wierszy Rolanda i jego notatnik. W wychodzącej na północ sypialni panował półmrok i detektyw przechylał do światła trzymaną w ręce kartkę.

– Pan wybaczy. To są prywatne rzeczy. Jest pan cholernie wścibiński.

– Dobry tytuł. *Glamis sen zabił\** – przeczytał półgłosem Browne. – Glamis. Piękne imię dla dziewczyny. Walijskie. – Odłożył kartkę i ruszył wąskim przejściem między łóżkiem a ścianą w stronę Rolanda i Lawrence’a.

- To nie moje słowa, a imię jest właściwie szkockie.
- Więc niezbyt dobrze pan sypia?

Roland puścił to mimo uszu. Alissa pomalowała meble w sypialni na jasnozielony kolor i naniosła na nie przez

---

\* William Szekspir, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski.

szablon niebieski wzorek z dębowych liści i żołądź. Otworzył szufladę, żeby Browne mógł do niej zajrzeć. Swetry Aliissy ułożone były równo w trzech rzędach. Różne używane przez nią zapachy stworzyły mieszankę o bogatej historii. Moment, kiedy spotkali się po raz pierwszy, nakładał się na ten, gdy rozmawiali ze sobą po raz ostatni. Perfumy i jej nagła obecność to było dla niego zbyt wiele. Cofnął się, jakby poraziło go światło.

Browne bez wysiłku się pochylił, wyjął najbliższy sweter z czarnego kaszmiru i wsunął go do jednej ze swoich plastikowych toreb.

– A próbka mojego pisma?

– Już ją mam. – Detektyw wyprostował się i poklepał schowany w kieszeni aparat. – Pański notatnik był otwarty.

– Zrobił to pan bez mojego pozwolenia.

– Spała z tej strony? – zapytał Browne, wskazując wezłowie łóżka.

Roland był zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć. Na szafce nocnej z jej strony była czerwona spinka do włosów z zaciśniętymi ząbkami, a pod nią broszurowe wydanie książki; Browne chwycił ją z brzegu i podniósł. *Prin Nabokova*. Delikatnie otworzył i zajrzał do środka.

– To jej notatki?

– Tak.

– Czytał pan tę książkę?

Roland pokiwał głową.

– Ten egzemplarz?

– Nie.

– To dobrze. Moglibyśmy wezwać techników, ale na tym etapie gra jest niewarta świeczki.

Roland powoli się opanowywał.

– Myślałem, że epoka odcisków palców powoli się kończy – rzucił, chcąc, by zabrzmiało to jak luźna uwaga.



– Przyszłością są geny.

– Modne bzdury. Za mojego życia tego nie zobaczymy. Ani za pańskiego.

– Naprawdę?

– Ani za czyjegokolwiek życia. – Detektyw wskazał głową schody. – Musi pan zrozumieć jedno. Gen nie jest rzeczą. Jest idea. Idea na temat informacji. Odcisk palca jest rzeczą, śladem. – Obaj, wraz z dzieckiem, zeszli po schodach. Na parterze Browne się odwrócił. Pod pachą miał przezroczy- stą torbę ze swetrem Alissy. – Nie zjawiamy się na miejscu przestępstwa, żeby szukać abstrakcyjnych idei. Szukamy śladów realnych rzeczy.

Lawrence po raz kolejny im przerwał. Machając ręką, wydał z siebie głośny okrzyk, który zaczął się od zwarto-wy- buchowej spółgłoski, b albo p. Następnie wskazał mokrym palcem ścianę. Roland zakładał, że taki dźwięk jest prakty- ką przed trwającym całe życie mówieniem. Język musiał się szykować do wszystkiego, co kiedykolwiek wypowie.

Browne przeszedł przez hol. Roland podążył za nim.

– Mam nadzieję, że nie sugeruje pan, że to jest miejsce przestępstwa – powiedział ze śmiechem.

Detektyw otworzył frontowe drzwi, wyszedł z domu i odwrócił się do Rolanda twarzą. Za nim stał zaparkowany dwoma kołami na krawężniku mały samochód, jasnozielony morris minor. Smutne opadające policzki policjanta oświe- tliło poranne światło. Jego mądrości nie były przekonujące.

– Miałem kiedyś sierżanta, który powtarzał, że tam, gdzie są ludzie, zawsze jest miejsce przestępstwa – oznajmił.

– Brzmi jak kompletny nonsens – skomentował Roland.

Ale Browne zdążył się już odwrócić i chyba go nie usły- szał. Ojciec i syn patrzyli, jak idzie zarośniętą chwastami krótką alejką do zepsutej ogrodowej furtki, która nigdy się nie zamykała. Detektyw stał jeszcze przez pół minuty na

chodniku, szukając w kieszeniach kluczyków. W końcu znalazł je i otworzył drzwi od strony kierowcy. A potem jednym zgrabnym ruchem wykręcił wielkie ciało, wsunął się do małego auta i zatrzaskał za sobą drzwi.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).